

Pobudka

TYGODNIK

Ze względów technicznych —
numer wyszedł z druku opóźnio-
ny, w podwójnej numeracji.

Łódź, 15 — 22 VI. 1947 r.

Rok III. Nr 24 — 25

CENA 5 ZŁ

Brytyjskie władze wojskowe kończą demobilizację żołnierzy polskich, którzy po wyzwoleniu z niewoli niemieckiej znajdowali się w specjalnych ośrodkach wojskowych w Niemczech. Jest ich w brytyjskiej strefie okupacyjnej kilkanaście tysięcy. Część zgłosiła się już na wyjazd do Polski. Reszta, w liczbie około 7-u tysięcy, ulegała namowom emisariuszy andersowskich ma zamiar pozostać w Niemczech. Zdjąć żołnierskie mundury, dystynkcje i odznaki.

Po latach niewoli i poniewierki, kiedy ojczyzna jest wolna, kiedy szkoły, fabryki i biura otwarte są dla wszystkich, kiedy wszyscy i wszystko wzywa ich do powrotu, do współdziałania nad odbudową, kiedy w niepamięć puszcza się stare przewinienia — ONI ODMAWIAJĄ POWROTU, wyrzekając się domu i rodziny, twórczej pracy dla społeczeństwa — tej jedynej wartości bezwzględnej. Godzą się na pozostanie wśród obcych, oddzielają się od nas murem.

Tu w kraju jest miejsce i praca dla wszystkich. Wielki szmat ziemi leży jeszcze odłogiem, wiele warsztatów stoi w bezruchu, bo brak sił fachowych i rąk robotniczych. W dziesiątkach wsi i miast żony i matki wspominają z bólem, swych najbliższych, którzy pozostali tam na obcej ziemi i na usta ich ciśnie to samo pytanie: — Dlaczego nie wracają do kraju o który walczyli, do ziemi, na której wyrosli.

Ale pomimo tego, że wybrali niepewność losu i gorycz obcości, że zrozumieć nam ich nie podobna my ich potępiać w czambuł nie będziemy, tak samo jak nie będziemy uważać ich za nierządców. Dla nas pozostaną ludźmi CHORYMI NA PEWIEN URAZ PSYCHICZNY.

A sąd o nich? SĄD — POZOSTAWIMY POTOMNOŚCI.

J. KRYGIER

WALKA

O PION MORALNY

Sejm, na czteroletniej sesji nadzwyczajnej uchwalił ustawy, dające rządowi możliwości walki ze spekulacją i drożyzną.

Ludzie pracy, wydani na łup spekulantów, znaleźli się w ciężkim położeniu.

Tymczasem całe rzesze tych, co nie orzą, nie sieją, a zbierają, obrastały tłuszczem. Na przestrzeni dwu lat majątki ich wzrosły wielokrotnie.

Te elementy wyzute ze czci i godności „dorwały się do czynu“ i prawem kaduka dążyły do opanowania życia gospodarczego, dyktowania cen tak w mieście, jak i na wsi.

Należało tej zbrodniczej gospodarce położyć kres. Ustawy uchwalone przez Sejm, to wojna wypowiedziana spekulantom. Mobilizacja armii ochotników, którzy uzbrojeni w moc prawną ustaw i w ramach tych ustaw będą walczyć ze spekulacją — jest już dokonana. Walka musi być prowadzona w majestacie prawa, ale z całą bezwzględnością.

Rzesze spekulantów, to ważne zagadnienie w całokształcie stosunków w Polsce ludowej. Walka z tymi szkodnikami leży nie tylko w interesie konsumenta, lecz i zresztem kupieckich, które winny pomóc do wyrwania z korzeniami tej „zatrutej roślinki“. Zarobki świata pracy nie mogą tonąć w kieszeniach spekulantów.

Karzącą ręką sprawiedliwości staną się bataliony robotnicze, które wyruszą na front walki ze zdziercami. Powodzenie tej akcji zależy nie tylko od ilości atakujących twierdzą wyzysku, ale także i przede wszystkim od ich zdecydowania i poziomu moralnego. Żadne względy dla ewentualnych przestępców nie mogą mieć zastosowania. Ściągać należy tak dyrektorów central handlowych, spółdzielczych, jak i prywatnych przestępców. Ustawy o tak ważnej treści nie dadzą wyników, jeżeli główne centra przestępstw nie zostaną wykryte.

Rozpoczyna się nowy okres walki ze szkodnictwem narodowym. Okres ten, choć trudny, musi się zakończyć zwycięstwem.

Wyprostowanie moralności w narodzie jest wprost nakazem niecierpliwym zwłoki. Obrońcy tłuszczem spekulanci muszą spuścić z tonu; wyprawienie chrczin w cenę 150.000 zł., płacenie rachunków w restauracjach i barach za jeden wieczór po kilkadziesiąt tysięcy — nie będą tolerowane.

Rola spółdzielczości w tej walce ze spekulacją była i jest dominująca. Spółdzielczość ma swoją chlubną kartę w walce wyzwoleniczej klasy pracującej. Ma najlepiej przygotowany aparat urzędniczy, który w przeważającej większości stanowią społecznicy, związani z klasą robotniczą w okresie okupacji, kiedy co godzinę śmierci patrzyło się w oczy.

Bez umoralnienia społeczeństwa, wyprostowania pojęć, wymazania bez reszty szkód moralnych z okresu okupacji, nie sprostimy zadaniu. Wykonawcami ustaw są ludzie. Najlepsze ustawy nie dadzą wyników, jeżeli „stróżami prawa nie będą obywatele na wysokości zadania“.

Wierzmy, że na front walki z lichwiarskimi zarobkami wyruszył najlepszy element, świadomy odpowiedzialności.

Spekulacja na wsi i w mieście musi być pokonana przez wyprostowanie pionu moralnego. W tej walce z przestępczością klas pośrednich członkowie PPS odegrają ważną rolę, jako wypróbowani żołnierze, karni szeregowcy, chorążowie wielkiej idei socjalistycznej, niosącej ostateczne wyzwolenie.

DOROTA KLUSZYŃSKA.

PRASY

Obok Indii i Chin — Korea stała się ostatnio przedmiotem żywego zainteresowania prasy światowej. Ogłoszony w ubiegłym tygodniu komunikat, w następstwie rozmów min. Molotowa z Marshalllem, doniósł o uzgodnieniu przez mieszaną komisję radziecko-amerykańską podstawowych problemów ustrojowych Korei.

„Komisja ta — pisze „La Semaine dans le Monde” — przedłoży obu rządów (t. j. ZSRR i USA) swe zalecenia odnośnie powołania demokratycznego rządu prowizorycznego na Korei”.

Stwierdzając następnie skomplikowany charakter problemu „La Semaine” dodaje:

„Istnieje niemal że przepaść pomiędzy Koreą północną i południową. Ewentualna fuzja ekonomiczna może być realizowana jedynie drogą jednoczesnej unifikacji politycznej. Ta ostatnia wymaga jednak uzgodnienia poważnych różnic w poglądach mocarstw okupacyjnych Korei, t. j. Związku Radzieckiego i Ameryki”.

Koreańscy dowiedli niejednokrotnie pisze AT. Steele w „New York Herald Tribune”, że potrafią rządzić się demokratycznie. Koreańscy protestują przeciwko reżymowi narzuconemu przez Amerykanów, uważając, że nie jest on reprezentowany, że grupuje zbyt wiele elementów prawicowych, a przede wszystkim że jest instrumentem polityki amerykańskiej. W tych warunkach — dodaje Steele — trudno będzie przekonać Koreańczyków, że posiadają rząd autonomiczny, dopóki USA trzyma w swych rękach, również kluczowe pozycje — jak finanse czy siły zbrojne”.

„Amerykanie muszą wreszcie uzgodnić — pisze szwajcarski „National Zeitung” aspiracje narodowe, polityczne i społeczne Korei”. „Najsilniejsze tamtejsze partie polityczne tj. socjaliści i komuniści stanowią trzon potężnego ruchu niepodległościowego — ruchu, który odrzuca w swej olbrzymiej większości amerykańską koncepcję”.

Korea chce być wolna i demokratyczna. Tę wolę manifestowała wielokrotnie już swą krwią w nierównej walce z Japonią — w czasie drugiej wojny światowej — działalnością doskonale zorganizowanych oddziałów podziemnego ruchu oporu”. („National Zeitung”).

w zwierciadle tygodnia

Nowy etap stosunków polsko-brytyjskich

Zapoczątkowana przemówieniem Bevina w Izbie Gmin 30 kwietnia nowa faza stosunków polsko-brytyjskich weszła obecnie na drogę konkretnych realizacji. Podpisanie umowy handlowej między obu krajami jest tego najlepszym dowodem. Długotrwałe i kilkakrotnie zrywane rozmowy doprowadziły wreszcie do konkluzji zadawalających obie strony. Jeszcze raz okazało się, że mimo istniejących obustronnie niewątpliwych potrzeb gospodarczych, brak odpowiedniego klimatu politycznego był główną przeszkodą w zawarciu układu. Klimat ten został dopiero wytworzony w czasie wizyty min. Bevina w Warszawie w wyniku rozmów z tow. premierem Cyrankiewiczem i min. Modzelewskim. Dlatego też układ handlowy polsko-brytyjski należy traktować nie tylko jako pozycję gospodarczą, ale również jako osiągnięcie polityczne.

Taki też charakter nadają tej umowie oficjalne koła brytyjskie. Wygłaszając przemówienie w czasie obiadu w Ambasadzie R. P. w Londynie, sir Stafford Crips podkreślił, że przejście ze stanu nieregulowanego na tory umów konkretnych jest niezmiernie ważnym przyczynkiem do ogólnego polepszenia stosunków między obu krajami. Taki sam charakter posiadało przemówienie min. skarbu Daltona, zakończone niekonwencjonalnym toastem: „Niech żyje nowa, nieśmiertelna Polska”.

Wartość umowy została również wysoko oceniona na forum międzynarodowym. Prasa francuska podkreśla, że umowa ta jest największą, jaką Polska zawarła dotychczas z jakimkolwiek mocarstwem zachodnio-europejskim. Zapowiedź tej umowy, wedle komentatora Agence-France-Presse, ułatwiła min. Bevinowi obronę swego stanowiska na kongresie Partii Pracy w Margate.

Z tonu prasy międzynarodowej, pozytywnie oceniającej nowy etap stosunków polsko-brytyjskich, wybijają się tylko prasa amerykańska, która w naszej umowie gospodarczej oraz w rokowaniach brytyjskich z Jugosławią i Związkiem Radzieckim widzi przejawy usamodzielniania się gospodarczego i rozluźniania węzłów, łączących Anglię ze Stanami Zjednoczonymi. Dziennik „PM”, omawiając układ polsko-brytyjski stwierdza, że Wielka Brytania „pragnie usamodzielniać się pod względem gospodarczym od wpływów Stanów Zjednoczonych”. Jednocześnie „PM” podkreśla w innym artykule tego samego numeru stały wzrost nastrojów antyamerykańskich w Anglii. Dlatego też układ polsko-brytyjski, wedle dziennika amerykańskiego, jest zwycięstwem tendencji antyamerykańskich.

Układ z Polską zapoczątkował szereg rozmów z innymi krajami Europy Wschodniej, ze Związkiem Radzieckim na czele. Pragniemy też dać wyraz naszej radości, że przyczyniliśmy się w tak znacznym stopniu do niwelowania rowu, jaki niektórzy politycy pragną wykopać między Wschodem a Zachodem. Polityka nasza jeszcze raz wykazała, że jest polityką pokojowej współpracy między narodami.

R. W.

Zapowiedź separatyzmu

Koncepcja zawarcia przez Amerykę odrębnego pokoju z Niemcami, wysunięta przez byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Herberta Hoovera znalazła ostatnio nowego rzeźnika. Już pierwsze wiadomości z Waszyngtonu wskazywały na zainteresowanie odpowiedzialnych czynników amerykańskich tym ryzykownym projektem. Ostatnie doniesienia są bardziej konkretne. Jeden z wybitnych przywódców obozu republikańskiego, senator Vandenberg, przypuszczalny kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych, wyraził na posiedzeniu Komisji Spraw Zagranicznych Senatu przypuszczenie, że Stany Zjednoczone zmuszone będą prawdopodobnie do zawarcia osobnych traktatów pokojowych z Niemcami i z Austrią.

Senator Vandenberg mógł być z góry przekonany, że jego oświadczenie wywoła sensację nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale w całym powojennym świecie. I dlatego zapewne po upływie niewielu godzin zaledwie dodał, że będzie to jednak ostateczne wyjście z sytuacji w razie niemożności osiągnięcia porozumienia mocarstw w tej sprawie.

Uderzający jest przede wszystkim pośpiech, z jakim Stany Zjednoczone, a raczej pewne koła amerykańskie dążą do normalizacji stosunków w powojennych Niemczech. Żaden z sojuszników nie wykazuje w tej sprawie takiego pośpiechu.

Niecierpliwość pewnych kół amerykańskich, które wywierają przemożny wpływ na obecną politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, widoczna była już podczas trwania konferencji w Moskwie. I dlatego właśnie pod adresem amerykańskiego sekretarza stanu, Vandenberg wyraził się o potrzebie cierpliwości, tak koniecznej w dziele poszukiwania prawdziwego pokoju. Wydawało się, że Marshall dał się przekonać, gdyż sam po powrocie z Moskwy przemawiał przez radio na temat cierpliwości, podobnie zresztą jak i Ernest Bevin, kierownik brytyjskiej polityki zagranicznej.

George Marshall nie jest republikaninem, ale nie jest również demokratą. Jest generałem. Powołanie na swój odpowiedzialny urząd zawdzięcza dziwnym warunkom, jakie się wytworzyły po zerzeczonych wyborach do Kongresu w których większość uzyskał republikanie w paradoksalnej sytuacji, w której

rząd był jeszcze demokratyczny, a większość w Kongresie już republikańska, w sytuacji, którą konstytucja amerykańska toleruje, prezydent Truman powziął decyzję powołania na stanowisko kierownika amerykańskiej polityki zagranicznej, bezpartyjnego, który potrafiłby pogodzić oba kierunki polityczne, stwarzając pewien kierunek narodowy, ponadpartyjny. Ale jednocześnie w departamencie stanu zaznaczać się zaczęły coraz silniejsze wpływy kół republikańskich, które na Niemcy patrzyły zawsze oczyma ludzi interesu. Efekt jest taki, że bardziej zainteresowana w rozwiązaniu zagadnienia niemieckiego Europa nie wykazuje takiego pośpiechu, jak Stany Zjednoczone.

Kwestja Niemiec w samym sercu Europy i znaczenie ich potężnego aparatu gospodarczego nie dadzą się oczywiście zaprzeczyć. Ale podczas gdy Europa dąży do ujęcia potencjału niemieckiego w ramy pewnej sprawiedliwej proporcji, która usunęła by ich hegemonię ekonomiczną, a tym samym nacisk gospodarczy na słabsze organizmy, Ameryka bez oglądania się na te proporcje dąży do szybkiej odbudowy Niemiec, gdyż widzi w tym swój interes. Stąd owa niecierpliwość w dążeniu do normalizacji stosunków z Niemcami i chęć jak najszybszego zawarcia pokoju.

Ponieważ jednak inne mocarstwa, posiadające w tej sprawie głos decydujący, nie wykazują podobnego pośpiechu, wszystko przemawia za tym, że w dążeniu swym Stany Zjednoczone będą odesobnione.

Precedens z okresu po poprzedniej wojnie światowej nie może być obecnie miarodajnym, gdyż wówczas sytuacja polityczna Niemiec była inna. Nie było okupacji i Niemcy przeszli gładko ze stanu wojny do stanu pokoju. Z takimi Niemcami, posiadającymi mimo klęsk ciągłość rządów, Ameryka mogła zawrzeć odrębny pokój. Dziś jednak Niemcy nie posiadają rządu centralnego, a tylko marionetkowe rządy krajowe. Z kima przeto Stany Zjednoczone chcą zawrzeć pokój? Z Bawarią, czy z Wirtembergią? To mogło być ostatecznie możliwe. Ale nie z Niemcami. I na takim pokoju amerykańscy biznesmeni nie zrobią dobrego interesu.

W tych warunkach projekt Hoovera i oświadczenie Vandenberg'a uważać należy raczej za posunięcie propagandowe, aniżeli za realny projekt.

LEON HUCZYŃSKI

Zródła niedomówień i frazesów

Pod adresem publicystyki formułowane są niejednokrotnie poważne oskarżenia. Zarzuca się jej brak żywej, odważnej i twórczej postawy, nudę, pozór aktualności i operowanie nowym wprawdzie, ale gotowym i powtarzającym się zasobem myśli. Mówi się i pisze niejednokrotnie, że publicyści zamiast ukazywać prawdę, wyrażają przede wszystkim przekonanie o słuszności, szczęście czy zachwyt. Publicystyka nie może sprowadzić się do — choćby z pełnym oddaniem formułowanych — deklaracji. Zasadnicze zagadnienia gubią się w atmosferze odświętności i deklamacji. Problemy przemian społecznych i obyczajowych zaszytych w czasie okupacji i po odzyskaniu niepodległości — są najczęściej wyczerpywane w zdawkowych zdaniach, lub pomijane.

Zarzuty powyższe są niestety w wielu wypadkach słuszne. Narzuca się a kolei zasadnicze pytanie: dlaczego tak się dzieje? Gdzie tkwi źródło niedomówień, frazesu i zdawkowego oceniania wydarzeń? Wydaje się, że tego rodzaju postawa publicystów tkwi w poważnej mierze W FAŁSZYWYM PRZEKONANIU wyrosłym na gruncie okupacyjnych jeszcze doświadczeń, że **KRYTYKA JEST ZŁE WIDZIANA, ŻE WOLNO PISAĆ** tylko w tonie ENTUZJAZMU i zachwytu.

Równie ważna przyczyna tkwi W BRAKU dostatecznej ŁĄCZNOŚCI publicystów z żywym środowiskiem społecznym i patrzenie na te środowiska z punktu widzenia doraźnych potrzeb państwa czy partii politycznych. Urabianie opinii publicznej jest ważnym zagadnieniem, ale równie ważne są te sformułowania publicystyczne, które są odbiciem istniejących jeszcze trudności, które naświetlają rzeczywistość w tym układzie stosunków, w jakim ona dotychczas jeszcze się znajduje.

Publicystom nie ułatwia również pracy fakt, że wielokrotnie ich opinie — SZCZEGÓLNIIE KRYTYCZNE — BYWAJĄ CZĘSTO LEKCEWAŻONE PRZEZ ADRESATÓW. Działalność publicysty może stać się w takich warunkach głosem WOLAJĄCEGO NA PUSZCZY. Jest oczywiście, że taka sytuacja nie ułatwia pracy, nie wpływa na dobre samopoczucie.

Prawodawstwo prasowe — jako zbiór tych reguł, w ramach których winna się rozwijać działalność dziennikarska — również może stać się podstawą uzdrowienia niedomagań prasowych. Dotychczas zdołaliśmy już opracować ustawowe ramy dla wielu dziedzin życia. Społeczeństwo odczuwa skutki działalności prawodawcy w formie wzrostu pewności prawnej, praworządności, która jest nieodzownym czynnikiem procesów stabilizacyjnych. Przepisy prasowe w Polsce mają ciągle jeszcze charakter tymczasowy, zamykają się w ramach zbyt ciasnych dla zmienionych już warunków. Ten stan jest przyczyną, że niektórzy unieję wyrobieni urzędnie dopuszczają się niekiedy pewnych dowolności w interpretowaniu dotychczasowej ustawy, utrudniając tym dziennikarzowi jego pracę!

Przezwyciężenie tych przeciwności może w dużej mierze przyczynić się do **PODNIESIENIA POZIOMU** i rozszerzenia zainteresowań człowieka pióra.

JERZY WOLSKI

Nasz

komentarz

Zapowiedź sen. Vandenberg'a w Senacie amerykańskim, że USA mogą zawrzeć odrębne traktaty pokojowe z Niemcami i Japonią, była pierwszą próbą oficjalnego zamaskowania jednej z tez osławionego planu Hoovera. I już pierwsza ta próba przyniosła polityce amerykańskiej niepowodzenie.

Prasa i opinia brytyjska zareagowały na oświadczenie Vandenberg'a w sposób wysoce niezyczliwy. Londyńscy obserwatorzy oświadczyli wręcz, że w wypadku zrealizowania takiego pomysłu przez Amerykę, W. Brytania teoretycznie biorąc, mogłaby właściwie wespół ze Zw. Radzieckim zawrzeć również odrębny traktat z Niemcami. Taka perspektywa wcale nie była brana w rachubę przez Waszyngton i od razu ochłodziła zapęły zwolenników polityki Hoovera.

Jeszcze ciekawsza była wypowiedź niemieckich polityków. Oświadczyli oni, że pomysł zawarcia odrębnego pokoju z zachodnimi strefami uważają oni za zgoła niepoważny. Niemcy bynajmniej nie pragną być członkami, jakby to chcieli widzieć amerykańscy amatorzy eksploatacji kolonialnej w Europie. Nie znajdzie się wobec tego polityk niemiecki, któryby położył swój podpis na akcie zapoczątkowującym rozbiór Niemiec.

W Waszyngtonie nastąpiło otrzęwienie.

Jednocześnie Senat USA ratyfikował traktat pokojowy w Węgrami, odcinając się w ten sposób od awanturniczej polityki pewnych kół amerykańskich, które finansowały i popierały spisek Naży'ego. Jeszcze wymowniejszą jest decyzja Izby Reprezentantów, która wbrew zakłębom i wysiłkom wojskowych kół amerykańskich zredukowała o pół miliarda dolarów wojskowy budżet St. Zjednoczonych.

Jedynym realnym „dorobkiem“ ostatniej fazy „wojowniczej“ polityki amerykańskiej jest działalność tajnej radiostacji niemieckiej „im. Bormanna“, która rozpuszcza alarmujące po głoski wojenne. Ale wątpimy bardzo, czy tego rodzaju „sukcesu“ można pogratulować politykom amerykańskim, bez narażenia się na posądzenie o złośliwe szyderstwo.

GRA SŁÓW CZY NIEPOROZUMIENIE?

Na marginesie pewnego artykułu tow. Werfla

(SAP) W „Głosie Ludu“ Nr 151 ukazał się artykuł tow. K. Werfla pod tytułem: „Nieporozumienia teoretyczne i praktyczne. Na marginesie pewnych wypowiedzi tow. Osóbki Morawskiego, w którym autor polemizuje z szeregiem opinii przewodniczącego CKW PPS, wypowiedzianych na zebraniu partyjnym w Łodzi. W artykule tym tow. Werfel usiłuje wywołać wrażenie, że między tow. Osóbką Morawskim a nim zachodzi istotna różnica zdań, że tow. Osóbka Morawski jest w błędzie co do najbardziej elementarnych spraw i że wobec tego należy „wyjaśnić nieporozumienia“.

Nieporozumienia te są — zdaniem tow. Werfla, — „szkodliwe dla dalszego zacieśniania współpracy pomiędzy obu partiami“ (PPS i PPR). Wydaje mi się jednak, że „szkodliwe dla dalszego zacieśniania“ itd. są nie te rzekome nieporozumienia, lecz właśnie wystąpienia w rodzaju cytowanego artykułu tow. Werfla, opartego prawie wyłącznie na grze słów i na sporach terminologicznych. Nie chcąc być gołosłownym, przytoczę kilka konkretnych przykładów.

Straszak etatyzmu

Tow. Werfel zarzuca tow. Osóbcie-Morawskiemu „płatanie pojęć“ upaństwowienia, uspołecznienia i etatyzmu i poucza go, że to tylko publicyści peeselowscy mówią obecnie o etatyzmie. Ale tow. Werfel chyba dobrze wie, że gdy przewodniczący CKW PPS mówi o etatyzmie, ma ten termin zupełnie inne znaczenie, niż w ustach dziennikarzy z „Gazety Ludowej“.

Tow. Osóbka-Morawski powiedział w Łodzi, to samo, co głosimy od lipca 1944 roku w Lublinie, a mianowicie, że w obecnym naszym przejściowym modelu gospodarczym niektóre przedsiębiorstwa (naprz. kopalnie węgla) powinny być upaństwowione, inne (naprz. fabryki marmolady) — oddane spółdzielczości lub inicjatywie prywatnej. Ustawa o nacjonalizacji przemysłu przewiduje te wszystkie ewentualności.

Nie przeczę, że w pewnych wypadkach zachodzą różnice zdań między PPS i PPR co do tego, do którego sektora powinno być przekazane dane przedsiębiorstwo lub dana kategoria przedsiębiorstw, zwłaszcza różnymi się odnośnie handlu: PPS jest zwolennikiem spółdzielczości, PPR — upaństwowienia; nie przeczę, że PPS-owcy częściej wykazują więcej sympatii dla sektora spółdzielczego, — nie należy jednak tych dyskusji w konkretnych sprawach rozdmuchiwać do wymiarów „nieporozumień teoretycznych“.

Rady Zakładowe i „personalnicy“

Tow. Werfel jest oczywiście gorącym zwolennikiem „odłonej akcji mas ludowych“, występuje w obronie Rad Zakładowych. Ale z jednym małym zastrzeżeniem. Sympatie tow. Werfla kończą się w tej chwili, gdy następuje kolizja między Radą Zakładową lub Związkiem Zawodowym, a t. zw. personalnikiem. Wtedy tow. Werfel z góry zakłada, że racja jest po stronie personalników, którzy też są „elementem oddolnym, ludowym“ itd.

Nie przeczymy, że wielu personalników (ale nie wszyscy) rekrutują się z mas ludowych, lecz członkowie Rad

Zakładowych i Zw. Zaw. chyba zawsze występują w obronie interesów tychże mas ludowych, nie możemy więc zgodzić się z twierdzeniem, że racje mają tylko personalnicy. Domagamy się realizowania uprawnień Rad Zakładowych i Zw. Zawodowych, uprawnień dotychczas nie kwestionowanych przez towarzyszy PPR-owców.

Mobilizowanie i liczby

W ślad za tym tow. Werfel pisze bardzo ładnie o mobilizowaniu aktywności mas, o kierowaniu sił dynamicznych itd. O ile mi wiadomo, także tow. Osóbka-Morawski jest zwolennikiem tych słusznych haseł, pocóż więc wywoływać w czytelniku wrażenie, że i tu zachodzą jakieś bliżej nieokreślone „nieporozumienia“ (teoretyczne czy praktyczne?).

Lecz tow. Werfel przytacza w tym miejscu „konkretny przykład“, a mianowicie wsiada na „kozła oliarnego“, na spółdzielczość. Następuje zestawienie liczby członków spółdzielni, związków zawodowych i PPR. Na oczywiste błędy tow. Werfla w tym zestawieniu odpowiedzeli już spółdzielcy w notatce, zamieszczonej przez nas w Nr 150 „Robotnika“.

Lewiatan i fachowcy

Na zakończenie artykułu — tow. Werfel porusza sprawę fachowców i t. zw. „lewiatanów“ w przemyśle i tu jesteśmy świadkami najbardziej karkołomnej gry słów. Tow. Werfel imputuje tow. Osóbcie-Morawskiemu, że chce wyrzucić wszystkich starych fachowców itd. Tow. Werfel dobrze wie, że tak nie jest.

Jesteśmy przeciwko zatrudnianiu tych „lewiatanów“, którzy nie rozumieją obecnej rzeczywistości, którzy popełniają nadużycia, którzy stale doprowadzają do zatargów z robotnikami. Tych ludzi, wiernych swym przedwojennym bogom i panom, nie może obronić żadna legitymacja partyjna.

A tym bardziej nas oburza, gdy — częstokroć zwalniani są z pracy właśnie fachowcy — demokraci, fachowcy — PPS-owcy, fachowcy bezpartyjni, a na ich miejsce przyjmowany jest element niefachowy według widzimisię „personalnika“. Chcemy wierzyć, że takie wypadki oburzają także „personalnika“. Chcemy wierzyć, że takie wypadki oburzają także tow. Werfla.

Słowa bez pokrycia

Na tym właściwie mógłbym zakończyć merytoryczną polemikę z artykułem tow. Werfla. Znalazło się jednak w tym artykule kilka zwrotów, których nie można zakwalifikować jako gry słów i z którymi nie można spokojnie polemizować. Przytoczę jeden przykład. Tow. Werfel pisze: „Tow. Osóbka nie spostrzegł, że w praktyce orientuje się on na najbardziej zacofane, najmniej aktywne, najmniej świadome odłamy mas ludowych“.

To nie jest gra słów. To są słowa bez pokrycia. Czy to obraźliwe i bezpodstawne zarzuty pod adresem przewodniczącego CKW PPS mają także służyć „dalszemu zacieśnianiu współpracy pomiędzy obu partiami“?

Młotka nie znalazłem. Zastąpił go zardzewiały klucz francuski, znalezione w kacie, obok kupy płasku, nanoszonego tutaj w celach przeciwozarowych. Okna zostały zamknięte tekturą z pudeł „Maggi”. Nie było ciemno, bo dwa małe otwory, po stronie zachodniej budynku, dostatecznie oświetlały podłogę.

Stwierdziłem, że jeden z podtrzymujących dach filarów, obok którego stał mój barłóg, był kominem i promieniował przyjemnym ciepłem. Potożyłem się i natychmiast usnąłem. Nie było mi jednak przeczucie, że nasycić się tym odpoczynkiem. Ktoś słynnym poruszeniem mojego ramienia zmusił mnie do otworzenia powieki. Było już ciemno i nieczego nie widziałem.

— Kolego — mówił jakiś głos po polsku — uleń kolega się nie gniewa, ale musiałem skorzystać z okazji, bo kto wie, czy jutro albo kiedyś indziej mógłbym się tu dostać... Ja tu, z tej wsi... wszyscy mówią, że kolega z obozu, więc chciałem się dowiedzieć, czy czasem nie z Orantenburga. Tam mam dwóch braci...

— Nie, z Friedriksfelde. I wcale się nie gniewam, że kolega...

— To cześć. Nazywam się Grządkowski...

— A ja — Radzikowski.

Dwie dłonie serdecznie wysunięte w takich chwilach zawsze — choć by panowały najczarniejsze ciemności — znajdują się...

— A, kolega nie bał się przyjąć tutaj — zapytałem.

— E... ja to... raz na wozie, raz pod wozem, ale zawsze mam ich w jednakowo dużym poważaniu... Kolega palący?

— Tak — starałem się, aby głos mój nie drżał przy wymawianiu tego krótkiego wyrazu.

Zabłysła zapalka i Grządkowski, który okazał się najczarniejszym brunetem o gładko ogolonej twarzy wreczył mi okrągłą kurtkę „Juno”, wyciągniętą z kieszonek podziurawionej kurtki.

— A wypije sobie kolega też, od czasu do czasu?

— A co??

— E... nie jest znów tak źle! W majątku Hangena jest gorzelnia. Tylko trzeba mieć „chody”. Niedługo przejdą z buraków na kartofle... Wtedy potepszy się jakoś wódki. Wypijcie trochę — uczujem, że mój gość stawia coś na łóżku — to nie szkodziwa, a robi dobrze...

Wyjąłem korek z butelki i pociągnąłem. Buraczanka była niezła... Na dole rozległo się zgrzytanie zasuwanego rygla. Zantepokołem się, ale Grządkowski zauważył:

— Nie jest tak źle...

Naraz zaświtała mi w głowie pewna myśl:

— Czy kolega nie jest czasem... Waclaw?

A tak...

— Od Krygiera?

— Zgadza się...

— Opowiadała mi dzisiaj o koledze wasza towarzyska.

— Teneska?

— Zdaje się. Ona też tam pracuje?
— Tak.
— Może kolega powie jej, że ja jestem „specjalny”, jak część tych od Hangena...

— „Specjalny”?

— Ano tak...

— To może kolega... Stefan z Łodzi, co?

Zasłaniałem się:

— I to też się zgadza...

— To my się przecież znamy. Przecież Rataj, Dymowski i Malinowski cały czas tylko o was mówią...

— A porucznika Walczaka nie ma wśród nich?

— Nie. I nie było. Jest tylko tych trzech...

— A co oni robią?

— A no, Dymowski robi od rana do wieczora, jak dżiki osioł, w kuźni, Rataj o trzeciej rano już zaczyna doć krowy, a Malinowski już trzeci tydzień ładuje oborniak...

— Mogłbyście pozdrowić ich...

— Pewnie, ale zejście teraz ze mna, zamknąć drzwi i od piwnicy, żeby stary nie „skapował”...

— Dobra...

* * *

Rano zostałem udekorowany przez starca złotym kwadracikiem z niebieską literą „P”, a później rozpoczął się „wykład”. Stary Fetke tłumaczył mi, że codziennie rano, przed śniadaniem winieniem dać koniom żreć, napasć i wydoić pięć krów, a mleko zmieszać z pozostałym z udziału wieczornego dnia poprzedniego. Bańka z mlekiem ma być ustawiona przed knajpą Krygiera. Tam zatrzymywał się codziennie traktor dworski odwożący mleko do mleczarni w Fürstenwalde. Potem należało oczyścić konie.

Śniadanie składało się z trzech kawałków chleba, odkrojonych niezdarnie przez jednoosobnego, z wyniesionego ze spiżarni podłużnego bochenka. Po wypiciu filiżanki czarnej, gorzkiej kawy, rozpoczynało się pół godziny gimnastyki porannej: w stodole, która tylko w jednej trzeciej części zapełniona była niewymyślnym zbożem, zaraz przy wejściu, ustawiony był model siewczarni z drugiej połowy XIX wieku... Ujrzawszy ją, zmuszony byłem czapkę moją głęboko nasunąć na uszy, gdyż na myśl o tym, że siewczarnia ma być poruszana pracą moich ramion, włosy stawały mi dęba...

Sieczka miała być rżnięta co dzień i tylko w takiej ilości jaka wystarczałaby na dwa posiłki dla bydła i koni: poranny i wieczorny. Po zakończeniu „gimnastyki” należało załadować pięćset — litrowa beczkę od gnojówki na wóz, zaprzęgniąć do niego konie i pojechać do dworskiej gorzelni po wodę. W Trebusie nie było studni. Stała wprawdzie jedna na ulicy, ale jak się okazało, od pięciu lat uszkodzona... Stary Fetke

wyjaśnił mi, że Trebus położony jest zbyt wysoko, a przeprowadzenie instalacji wodociągowych jest zbyt kosztowne. Widocznie lepiej „placowało się zakupywanie wody w gorzelni dr. Hangena. Mnie myśi o cudzienniej przejazdce do dworu po wodę podobata się...

* * *

W gorzelni należało powiedzieć półnagiemu niewolnikowi rosyjskiemu, że wóz stoi pod rurą, a natychmiast zaczęła spływać do beczki czysta woda... Rosjanin podał mi rękę na pożegnanie. Dowiedziałem się, że nazywa się Miszka i zna dobrze Ratafa.

W drodze powrotnej, przejeżdżając obok obory dworskiej usłyszałem głośne kaszanie. Spojrzałem w kierunku kaszającego i ucałem, że w pierśi mojej dzieje się coś niezwykłego: w szerokich drzewach stał Rataf. Był bardzo chudy, ale zapuścił sobie wąsy... Prawa dłoń trzymał przy daszku wymiętoszonej, ale dobrej mi znanej rogatywki. Wyprostowałem kark, jak przy „w prawo patrz” i zdiatałem czapkę. Jak de fiada, to de fiada...

Dojeżdżałszy do domu. Starzec zatrzymał przed otwartą bramą konia, oddał mi lejce i powiedział, żebym podjechał przed ganek obory. a sam pobiegł naprzód i otworzył śpiesznie drzwi. Chodziło mu o napolemie krów święta woda... Zatrzymałem wóz tak, że tył beczki z kurkiem spustowym znalazł się przy samym ganek.

Kiedy krowy usłyszały turkot wozu, zaczęły przeraźliwie ryczeć i wszystkie przednimi kopytami weszły do betonowego koryta. Nie było to zresztą żadną dla nich trudnością... Chyba tylko naprężone fańcuchy, jakimi były przywiązane do koryt, uwiherały chude szyje...

Coś dla weterynarzy...

Krowy nie ryczały. One — jeczaty.

Do mnie należało zejść z wozu i wiaderkiem przynieść wodę od beczki do koryta. Podczas, kiedy stałem przy beczce, jedna ręka trzymała wiadro, a druga regulując napływ wody, starzec grzmotał trzemanymi w obydwu rękach widłami sprężone krowy. Był niewzruszony: był zwierzęta gdzie popadło: do rogach, szyl, kopytach, zaciskając beczkę szczękami.

Postanowiłem wprowadzić następnego dnia pewną innowację: położyć krowy kolejno z wiadra (nazajutrz stwierdziłem jednak, że starzec zrezygnuje z użycia widel dopiero wtedy, kiedy straci władzę w ramionach).

* * *

Fetke pocztował na górę. Schłamałem z koni uprzęże i usiadłem w rogu stajni. Czuję się bardzo zmęczony. Gdyby Ziółkowski vel Grünke, pozwolili mi doczekać się tutaj końca wojny, starabym się, aby nie powieszono go — jak planował Pawełek — za nogi, ale normalnie...

* * *

Przyrzutem się komuś twarznie: były to dwie klacze w młodym wieku, średniej wielkości, obydwie brunatnej maści. Takimi można pracować...

— Liza... — zaszepelił starzec, wskazując na stojącą bliżej drzwi.

Miałem właśnie zamiar powiedzieć Niemcowi, że z złodu ledwie stoje na nogach, ale opanowałem się.

— Liza? — powtórzyłem — a...

Starzec, przypuszczając, że chce dowiedzieć się jakie imię nosi druga klacz, natychmiast wyjaśnił:

— Liza ist aus Posen, a ta druga nie ma imienia. Też pewnie jakas Maria, Barbara albo Teresa...

Oho, jednooki znalazł polskie imiona żeńskie...

— Barbara — zdecydowałem się ochrzcić bezimienną klaczkę: poklepałem ją po twardej pierśi. — Basia...

Zauważyłem na jej szyi zarastający długimi włosami polski znak. Basia należała do jednego z lokalnych pniaków plechoty...

Nareszcie... Starzec pociągnął mnie do wnętrza budynku. Po drewnianych schodach zaprowadził mnie na strych, nie posiadający ani jednego szyby w dwóch średniej wielkości oknach, wychodzących na stronę wschodnią i wskazał mi mój kat. Na czterech jednocierowej długości belkach, równoległe do siebie ułożonych, znajdował się worek ze słomą, nakryty szczupłym kawałkiem płótna od snopowiazaki. Obok na krawędzi krzesła wisiał cienki koc. Postawiłem bez słowa mój piecaki na podłodze i spojrzawszy w jedno oko starca. Zrozumiał...

Nim zdążyłem opróżnić miskę — wszedł do kuchni epileptyk, który fano zaprowadził Pawelka i Placzkowskiego do dworskich obór.

Starzec tłumaczył „epileptykowi”, że nie rozumie po niemiecku, ale Dywiał twierdził, pokazując w ordynarynym skurczu swej epileptycznej maski resztki swych zółtych zębów, że „nie ma Polaka, który by nie udawał głupiego”. Miał rację. Lepiej być mądrym i udawać głupiego, niż być idiotą. Z rżną czółwika nalgłupszego pod stołem wstałem i skierowałem się ku drzwiom. Zatrzymałem się jednak, aby powiedzieć jednookiemu jedno słowo:

— Schiaten...

— Idź sobie...

Od drzwi wejściowych biegł korytarz, zakończony oszklonymi drzwiami. Po lewej stronie, naprzeciw kuchni znajdowały się drzwi prowadzące do mieszkania gospodarzy. Poszedłem na górę. Wiałe parsknięcie ze wszystkich stron. Przez dziury okienne nieprzerwanie wdzierało się wielkimi strumieniami wilgotne powietrze. Aby zmięknąć „atmosferę”, udałem się w poszukiwaniu za kilkoma deskami, które by mogły zastąpić szyby. Nie znalazłem ich, ale obok mojej „sypialni” w sasiędnim przedziale strychowym odkryłem stojące za workami z żytem trzy puste pudła z napisem „Mazgi”, a obok schodów stara skrzywnka od piwa, zawierająca w swych przeródkach gwoździe różnej wielkości.

Z dziejów i teorii socjalizmu

- (Ciąg dalszy V)

Zdobyte przez klasę robotniczą bez trudu, zabiegów i wysiłków, demokratyczne prawa wyborcze popychały na drogę parlamentarnego ruchu i były przyczyną osłabienia. Z drugiej strony reakcyjna polityka rządu pruskiego sprawiła, że elementy należące do niemieckiej partii socjal-demokratycznej nie opuszczały jej tak łatwo w chwilach organizacyjnego osłabienia, przeciwnie, podejmowały akcje jej cementowania na nowo. O aktywności tej partii świadczyłby fakt ukazania się pruskiej ustawy przeciw socjalistom.

W krótkim przeglądzie indywidualnych cech ruchów społecznych w poszczególnych krajach, jako punkt wyjściowy przyjęliśmy tezę że zradzały się one z opozycji z przeciwności wobec rozrastającego się kapitalizmu, wobec ucisku i nędzy, jakie niosł on klasie robotniczej że geneza tych ruchów tkwiła w nurtach psychologii proletariatu danego kraju, aby wnieść swoje właściwości i osiągnięte zdobycze do ogólnego międzynarodowego prądu proletariackiego.

Nie należy jednak zapominać, że równorzędnie zjawiają się teoretycy ekonomiści i społecznicy, którzy, rzucając pewne hasła, lansując pewne idee — oddziaływali bezpośrednio lub pośrednio na kierunek metody, zabarwienie i ewolucję ruchów społecznych. Udział zjawiających się koncepcyj ideologicznych był bezsprzeczny w kształtowaniu się ruchów społecznych i dlatego należy je z kolei omówić.

Reformacyjna myśl ludzka kształtuje się pod wpływem zjawisk społeczno-ekonomicznych bądź w bezpośrednim konsekwentnym następstwie, zmierzając do usystematyzowania tych zjawisk, do powiązania ich w pewien porządek praw wychwyconych, — bądź w przeciwstawieniu się tym zjawiskom, tworząc koncepcje, które mają na celu uchwycenie zasadniczych tendencji tych zjawisk i nadanie im odmiennych niż przejawianie kierunków rozwojowych.

Równoległe z kształtowaniem się ustroju kapitalistycznego, równoległe z utrwalaniem się jego symptomatycznych cech, jak walka klas, ucisk proletariatu, budzą się w umysłach ludzkich idee, które chcą przemienić ustrój, chcą wyzwolić z ucisku człowieka, chcą stworzyć lepszy, szlachetniejszy, sprawiedliwszy społecznie świat. Nowoczesny

socjalizm jako koncepcja, zmierzająca do zmiany rewolucyjnej ustroju kapitalistycznego, jest w treści swej przede wszystkim — mówi Engels — wytworem badań z jednej strony, panujących w dzisiejszym społeczeństwie przeciwieństw klasowych między posiadającymi, a nie posiadającymi, tj. pomiędzy kapitalistami a robotnikami najemnymi, z drugiej zaś strony jest on następstwem dociekań nad przejawami kapitalistycznej produkcji dóbr ekonomicznych.

W swej postaci teoretycznej, jak wszelka koncepcja ludzka, socjalizm nie wystąpił od razu w dzisiejszej skryształizowanej formie; kształtuje się on etapami na przestrzeni wieków w zależności i przy współdziałaniu bezpośrednich wpływów, jakie wywierały nań ruchy społeczne, jako przejawy dynamicznych sił uciskanych warstw proletariackich, oraz pod wpływem nowych, zradzających się idei społeczno-ekonomicznych, sięgając najdalej genetycznie do koncepcji utopijnych, jakimi była teoria idealnej abstrakcyjnej rzeczypospolitej Morusa. W swoich najbardziej skonkretyzowanych początkach — socjalizm, jako teoria, występuje jakby konsekwentniejsze rozwinięcie zasad, postawionych przez wielkich myślicieli francuskich XVIII wieku, nabierając charakteru t. zw. socjalizmu etycznego-prawnego. Podobnie jak każda nowa teoria musiał on nawiązać do istniejącego przed nim materiału myślowego, pomimo że korzeniami tkwił głęboko w materialnych faktach ekonomicznych.

Wielcy myśliciele Francji, jak Rousseau, Voltaire, encyklopedyści z Diderotem na czele, przygotowując umysły do nadchodzącej wielkiej rewolucji — sami występowali nawskroś rewolucyjnie. Nie uznawali oni żadnego autorytetu, wszystko poddawali krytyce rozumu — religię, ustrój społeczny, ustrój państwowy, poglądy na zjawiska przyrodnicze itp.

Dla epoki oświecenia myślący rozum stał się jedynym problemem wszystkim, co istnieje. Według wyrażenia Hegla myśliciele XVIII stulecia postawili świat na głowie najpierw w tym znaczeniu, że „głowa ludzka i twierdzenia wykryte przez jej myślenie, rościły sobie prawo do tego, żeby uchodzić za podstawę wszelkich czynów ludzkich i stosunków społecznych; później i w tym szerszym znaczeniu, że rzeczywistość, która przeczyła tym twierdze-

niom, została istotnie wywrócona od góry do dołu”. Wszystkie dotychczasowe formy społeczne i państwowe, wszystkie tradycyjne wyobrażenia i poglądy zostały poderwane. Dopiero rozum miał dać właściwe światło. Zabobon, bezprawie, przywileje i ucisk miały być wyparte przez wieczną prawdę, wieczną sprawiedliwość, przez równość, ugruntowaną w samej naturze oraz przez nieodłączne prawa człowieka. W krytycznej ocenie Engelsa to królestwo rozumu było prosto wyidealizowanym królestwem burżuazji, bowiem myśliciele epoki oświecenia, jak i innych epok, nie mogli wyjść poza granice nakreślone im przez daną epokę. Jakkolwiek mieszczaństwo mogło sobie rościć prawo w walce ze szlachtą, iż reprezentuje ono interesy klas pracujących, to nie należy jednak zapominać że przy każdym wielkim ruchu burżuazyjnym wybuchały samodzielne poruszenia klasy, która była poprzedniczką nowoczesnego proletariatu i która w przejawach podejmowanej przez siebie walki zapoczątkowała omówione już w krótkim zarysie nowoczesne ruchy społeczne.

Początkowym wystąpieniem niedojrzałej jeszcze klasy proletariackiej, jak również późniejszym zorganizowanym ruchom społecznym towarzyszą pojawiające się koncepcje teoretyczne, które zmierzają do rozwiązania istniejących problemów i konfliktów w nowym projektowanym i proponowanym ustroju społecznym. Najwcześniejszą koncepcją idei socjalistycznej była „utopia” Morusa (w. XVI), która z czasem stała się symbolem urojeń idealistycznych, graniczących z fantazją. W sto lat później Campanella ogłasza utwór o podobnym charakterze p. t. „Państwo słońca”, oraz angielski myśliciel, Harrington, wydaje powieść społeczną, roztańczającą wizję wyspy, rządzonej społeczem komunistycznym. Do teoretyków socjalizmu utopijnego należy zaliczyć również autorów komunistycznych XVIII w. Morelly'ego i Mably'ego.

W okresie wielkiej rewolucji przejawiają się również koncepcje socjalistyczne: bawizm i blanquizm, które zafamują się po roku 1848, kiedy zanikła wiara, że na barykadach można przetworzyć ustrój społeczny według nowych wzorów.

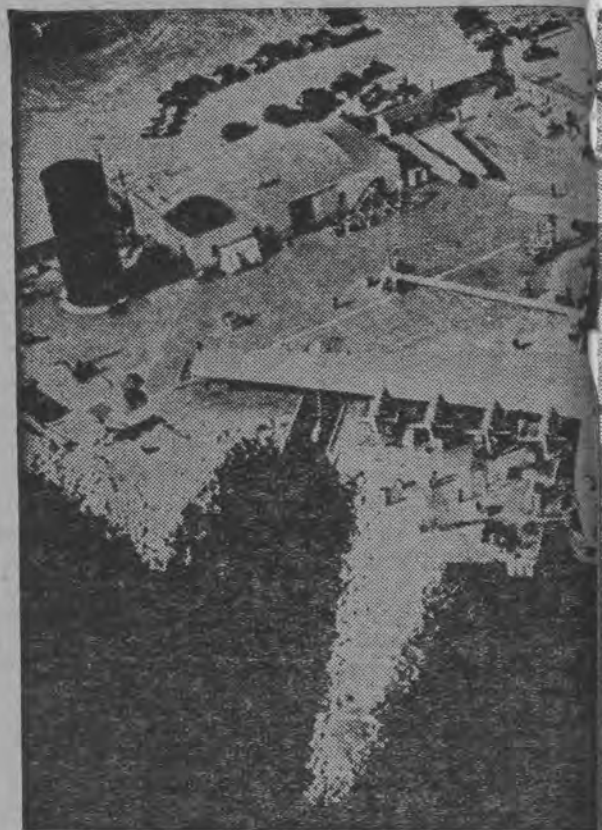
(d. c. n.)

K. — Z.

W ŚWIECIE



Miasta Dalekiego Wschodu, kryją w swych mrokach wiele tajemnic, a sama ludność przysparza niezliczonych kłopotów tamtejszym władzom bezpieczeństwa. — Zdjęcie przedstawia jedną z najuboższych dzielnic miasta Hongkongu.



Specjalnością fabryk lotniczych USA — są największy hydroplan świata, wyprodukowany w Kalifornii. Posiada 8 motorów.

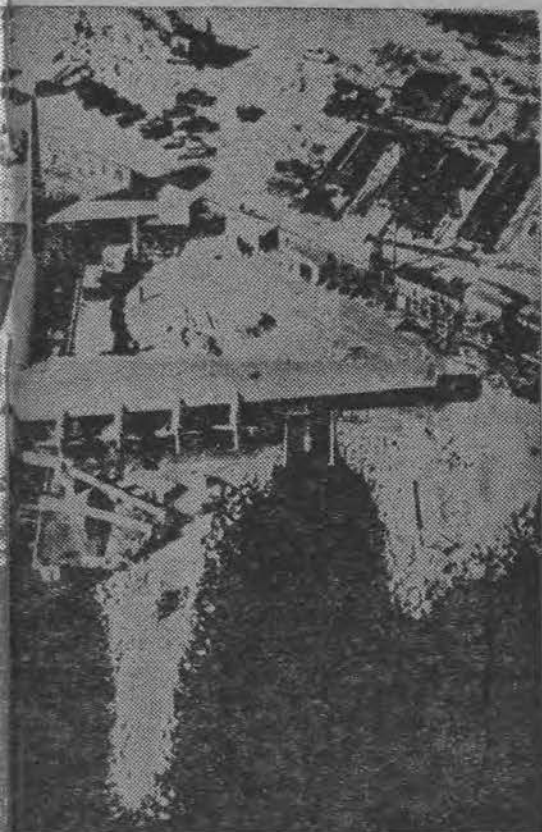


Synowi włoskiego Duce udało się uciec do Argentyny, gdzie gorliwie propaguje faszystowskie idee swego niesławnej pamięci ojca. — Na zdjęciu Vittorio Mussolini (po lewej), w rozmowie z dziennikarzem argentyńskim.



A oto gorliwy propagator faszystowskich uciekinierów — pułkownik...

i W POLSCE



...na samoloty olbrzymy. Na zdjęciu
...kowany w jednym z zakładów
...ów o sile 3000 PS każdy.



Barwne stroje regionalne cieszą się specjalnym
powodzeniem na Górnym Śląsku. — Nasze zdjęcie
przedstawia dwie hoże Ślązaczki w strojach
ludowych na tle kościoła w Opolu.



...faszyzmu i protektor
... — prezydent Argen-
...nik Peron.



W ubiegłym tygodniu przybył do Polski nowy ambasador
W. Brytanii sir Donald St. Clair Gainer. — Na zdjęciu: powi-
tanie nowego ambasadora przez przedstawicieli dyplomacji
polskiej, na lotnisku w Warszawie.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Dziś już muszę o tym pisać. Naprawdę. Bo niby dlaczego mam się codziennie denerwować?... Wyleję wreszcie z siebie tę żółć, a być może, że kilka słów, które napiszę znajdą gdzieś swój oddźwięk...

Z... „OKAZJI“...

Kiedy w ubiegłą sobotę wyszedłem do miasta, do kina, zdziwiły mnie na ulicy Piotrkowskiej (w Łodzi!) wywieszane przed domami flagi. Przed domami były flagi, a przed budynkiem Zarządu Miejskiego wystawiona była taka ładna, czerwono-biała trybuna.

Ponieważ z pamięcią nie jest u mnie ostatnio najlepiej, myślałem początkowo, iż w codziennej pracy zapomniałem, że w dniu 1 czerwca jest jakieś święto narodowe. Sięgnąłem więc szybko do kieszeni po mój kalendarzyk - informator, przewróciłem kilkanaście kartek i... stwierdziłem, że jednak 1 czerwca — to żadne święto. Więc dlaczego flagi?... Nie wiedziałem. Dopiero w poniedziałek jeden ze znajomych powiedział mi, iż w niedzielę odbyło się poświęcenie jakiegoś sztandaru i potem była defilada przed Zarządkiem Miejskim, no i z tej okazji — flagi...

Byłem trochę zdziwiony, no bo przecież poświęcenie sztandaru to jeszcze żadne święto narodowe, ale cóż...

PANOWIE! TROCHĘ UMIARU!...

Dziś znów budynek Zarządu Miejskiego był spowity w biało-czerwone sztandary. Przy Placu Wolności widziałem z daleka maszty z narodowymi barwami, przy katedrze też kilka takich masztów stało, w innym miejscu jeszcze dojrzałem reklamę tygodnia P. C. K. spowitą w biel i czerwień...

Wiem z całą pewnością, że w dniu dzisiejszym, a dziś jest niedziela 8 czerwca — święta narodowego nie ma napewno. Głowę mogę za to dać.

Więc dlaczego te narodowe barwy na ulicach?... Więc dlaczego w pewnych punktach miasta galówka?... Czy znów poświęcenie sztandaru?... A może tylko otwarcie jakiegoś lokalu, przecięcie wstęgi lub położenie kamienia węgielnego?...

Przyznaję że wstydem, że nie wiem. Tak samo jak nie wiem, czemu w roku pańskim 1947 przy byle jakiej okazji, z lada byle jakiego powodu szafuje się sztandarami, godłami państwowymi i narodowymi barwami.

Bo bardzo przepraszam, ale u mi a r to chyba właśnie przy barwach narodowych też obowiązuje. Nieprawda?

KTO TO UKRÓCI?

Przecież diabli człowieka brali w początkach ubiegłego miesiąca, kiedy — gdy wywieszono flagi w dniu święta 1 Maja, to trzymano je na ulicach i 2 i 3 i 4 i 5 i 6 maja... Po dziewiątym maja gdzieś tam podjeżdżano te biało-czerwone sztandary, które w wielu wypadkach były wspomnieniami tylko kolorów — białego i czerwonego, ale sam widziałem w wiele dni jeszcze potem zwisające przed bramami te nie flagi, a jakieś brudne, niechlujne płachty czy szmaty!... I jakich słów należałoby użyć na określenie podobnego stanu?... Jakich?... I czy nie ma powołanych czynników do ukrócenia takiego stanu rzeczy?...

„PATRIOTYCZNIE“...

Bo jeszcze jeden moment: Orzeł.

Nie będę mówił o tych różnych stylizowanych orłach, którymi domorośli dekoratorzy zdobią przy lada okazji wystawy, okna, czy budynki, o orłach — które podobne są do wszystkiego: do gapy, do kury, do gęsi — ale nie do orła. Ale kochani moi! Przejdźcie wy się ulicami Łodzi i popatrzcie tylko na wystawy sklepowe. Bo ja już popatrzyłem...

Księgarnia — orzeł wisi, skład zelaza — też, galanteria — z jednej

strony repertuar teatrów, z drugiej portret prezydenta, wystawa z pudełkami namiastki kawowej — no, ale gdzieżby bez godła państwowego!... Orzeł musi być! Obowiązkowo! Bo czyż to nie piękniej gdy wystawa z damskimi butami tło wystawy ma obite barwami narodowymi?... Przecież to tak patriotycznie! Nieprawda?...

I kto to wreszcie zmieni?... Bo ci, którzy tymi orłami i biało-czerwonym materiałem manifestują swą prawomówność i państwowotwórczość z pewnością nigdy nie zrozumieją swej — przepraszam! — głupoty! Takimto bez ustawy i bez karnego mandatu niezego nie przetłumaczysz.

I jeszcze:

Czy różni strażnicy i niestrażnicy, których oglądać musimy w naszym mieście z biało-czerwonymi opaskami na ramionach — koniecznie te opaski utrzymane mieć muszą w barwach narodowych?... Koniecznie?... Bo myślę, że jednak chyba — nie!

To tyle z tym nadużywaniem, z niesmacznym nadużywaniem barw narodowych i naszego państwowego godła. O nadużywaniu słów, takich słów jak — ojczyzna, Polska, wolność — pomówimy innym razem.

r y s



Prezydent do korony hiszpańskiej Don Juan, który ostatnio oarzucał propozycje gen. Franco. Na zdjęciu: Don Juan z synem Juanem Carlosem, w jednym z luksusowych hoteli szwajcarskich, gdzie obecnie przebywają.

przrzektem sobie — po zakończeniu wojny podbić germańskie oczęta i przebrać kosteczki u nóg) wypisała na niej takie słowa:
Inhaber darf Arbeitsort ohne Bewachung
der Ortspolizeibehörde nicht verlassen
Beerfelde,
Der Amtsvorsteher
I. v. (Franz).

Na szerokokrzydłowym orłem, strzegącym swastyki widniał napis:
Der Amtsvorsteher
des Amtsbezirks Trebus Kreis Lebus
Byłem więc też „specjalny“...

ROZDZIAŁ IX

TAM, GDZIE KROWY JĘCZA A ZIEMIA NIE RODZI!...

Chcąc dojść z knajpy Krygiera do gospodarstwa jednoosobowego Fettke, trzeba udać się wąską, brukowaną drogą w kierunku wschodnim.

Po lewej stronie biegnie wysoki mur, okalający ogród „Frankenstein“, a po prawej znajdują się: najpierw kościółek z pochyloną wieżyczką, a później — jednopiętrowy budynek z napisem „Schule“. Za szkołą zaczyna się posiadłość jednoosobowego. Tuż za drewnianą bramą, po prawej stronie znajduje się kąt dziczyzny ozdobiony wspaniałymi pokrzywami a dalej — niska ale bardzo długa, nieotynkowana budowla, biegnąca aż do końca podwórza, prawie pod samą stodołę.

Po lewej stronie stoi parterowy budynek mieszkalny. Do domku wchodzi się od strony podwórza. Jednooki objaśnił mi, że w niskim, nieotynkowanym budynku po prawej stronie mieszczą się chlew, obora, stajnia i komora na paszę ziarnistą.

Wzruszyłem ramionami. Jesteś, jeste, jeste — myślałem, szukając leżących na obszernej podwórzu śladów nawoza. Jak nakazywał zwyczaj niemiecki, wntien on być gromadzony na środku podwórza...

Czyżby krowy znajdowały się na łące? — Spojrzałem w otwarte drzwi obory, i uczułem jak podnoszą mi się włosy na głowie: krowy, dotykając grzbietami sufitu, krechy się niespokojnie. Jednooki spostrzegł moje zdenerwowanie.

— Cłiesz zobaczyć konie? — głos starca drżał tak samo, jak nie dawno przed Krygierem. Popatrzyłem w jedno oko mówiącego i rozszedłem bezradnie ręce. Starzec skinął na mnie i udał się do stajni... Miał prawo być dumny z posiadanych koni: uwężane łańcuchami do koryt, różne zaczęły machać ogonami, kiedy przesuwał się obok nich i oparł o stojącą w kącie skrzynię. Głodny byłem piaskiem, ale wszedłem za nim.

— Polnische Pferde... aus Polen...

Był ponury dzień. Szliśmy przez wieś, droga do Beerfelde. Trebus był wsią ulicową. Po obydwu stronach drogi znajdowały się parterowe budynki mieszkalne i gospodarstwa podobnie zabudowane jak u Fettkego.

W pewnym miejscu, w odległości około 200 mtr. od gospodarstwa jednoosobowego, droga gwałtownie skręcała ku północy. W tym też miejscu kończył się wąski bruk i zaczynał asfalt. Parterowe budynki mieszkalne ciągnęły się dalej. Jeden z nich ozdobiony był wielką tablicą: „Gärtnerrei — Herman Klingenberg“ i mniejsza, na której widniał pod czarnym orłem napis „Bürgermeister“.

Stary Fettke pociągnął mnie w stronę drzwi wejściowych. Na podwórzu stał mały trzykotowy samochódzik. Stoiacy obok Polak ładował na niego druciane kosze z marchwią i brukwią. Dowiedziałem się, że rodak mój pochodzi ze Stupcy, nazywa się Marian Matecki, jest synem gospodarza rolnego, ma tutaj bardzo cępty i czysty pokolk, że pracodawca jest i ogrodnikiem i burmistrzem. Fettke wezwał mnie do środka, a Marian udał się razem ze mną. Kiedy wchodziłem do kancelarii burmistrza musiałem ażwicić się:

Burmistrz - ogrodnik mówił do mnie przez „pan“!

— Pan Radzikowski — tak? — zapytał po niemiecku.

— Tak.

— Ma pan kszążkę pracy?

— Nie.

— Pan przybył z Berlina? z więzienia?

— Tak.

Przyjrzałem mu się uważnie. Miał około 60-ciu lat, był bardzo szczupły. Kiedy mówił mrugał oczyma. Wzrok miał dziwnie sympatyczny. Oczy jego wciąż śmiały się. Kiedy odchodziłem za starym Fettke, Klingenberg — o dziwo — podał mi rękę. A Marian Matecki wstał mi do kieszeni spodni dużą paczkę, zawierającą — jak później stwierdziłem — sto liści tytoniowych.

ROZDZIAŁ X

HITLEROWSKIE „AUDIATUR ET ALTERA PARS...“

Dzień w dzień budził mnie turkot dworskiego traktora, udającego się do Beerfelde po mleko.

Fettke rozlewnił się na dobre. Sypiał teraz dłużej i całą swoją pracę ograniczył do towarzyszenia mi podczas przywózki wody i wywaru z gorzelnicy — do „opiekowania się“ mną w czasie całodziennych prac w polu. Program był wciąż ten sam.

Starzec podobał mi się coraz bardziej. Przede wszystkim dlatego, że mileżał, pozwalając mi myśleć i... też mileżeć. Co dzień, po powrocie

z pola, zostawiał mnie samego wśród zgłodniałych krów i kowł. Wiedział, że kiedy zamknę drzwi stajni i obory, żadne zwierze nie będzie narzekać na złe traktowanie, a ja — nie zapomnę zgłoszę się do niego po dwa wieczorne kawalki chleba.

I tak upływał dzień za dniem.

W nocy z dnia 2 na 3 listopada nie spałem. Angliki bombardowali Berlin. Alarm ogłosiły syreny w Fürstenwalde i na lotnisku w Molkensbergu już o godz. 9 wieczorem, ale „zabawa” zaczęła się dopiero o północy i trwała z matymi przerwami do godz. 5 rano. Myślałem o Piacu Aleksandra w Berlinie...

Nad ranem, krótko przed końcem alarmu, niespodziewanie przyszedł do mnie Wacek. Przyjął mi od Ralata całą masę liści tytoniowych i od siebie kilkanaście kartek cienkiego papieru do „krecenta” papierosów.

— Wiesz, Stefan, Fettek siedzi w piwnicy i drzy... Robi rachunek sumienia...

Wacek mówił do mnie przez „ty”. Miał rację! Ten sposób porozumiewania się jest najlepszy.

— A jak ci idzie robota z tym... cyklopen? — uderzył mnie dłońmi w kolano.

— Nie mogę narzekać...

— No to, daj ci Bóże jak najlepiej... — chwycił mnie za ramię, pot wiedział jeszcze, że Teneska znów dostała od Krygiera łanie — i zszedł cicho po schodach.

O świcie zatrzaskała do obory epileptyczna twarz Dywala. Dołem właśnie ostatnia krowa i, gdyby szwab przyszedł pół minuty później, mógłby dowiedzieć się, jak należy pić mleko z wiadra, aby nie pozostać wile na brodzie i ubranii żadnych śladów. Popatrzał na mnie przez chwilę i bez słowa odszedł.

Epileptyk przyszedł tego dnia jeszcze raz do Fettego. Szedłem właśnie do kuchni po mój obiad.

Kiedy wychodziłem na podwórze, obał, mlęcząc, siedzieli za stołem. Jednooki zauważył mnie przez uchylone drzwi.

— Stefan — zaczął, ale natychmiast oddał głos „epileptykowi”.

— Jutro o szóstej wszyscy Polacy pojedą traktorem do Brucholz — parsknął Dywał.

Wzruszyłem ramionami.

— Niech on idzie — podiał znów jednooki — ja mu jutro rano wszystko wyjaśnię.

Długo zastanawiałem się, jakżeć może być jutro święto... Osada Bucholz leżała w odległości 6 km od Trebus, prosiłintenko na wschód...

Tamteży przechodziła droga do Polski...

43

Nie zdażyłem oczyścić kowł, gdy na podwórzu rozległy się ciekkie kroki. „Epileptyk” wszedł do obory, w której mie zgasłem światła

„Frankenstein”, który później okazał się „wielmożnym panem Krygerem”, ryknął „Hell Hitler”.

— To wy, ojcze Fettek, z tym Polakiem...?

Starzec stał przed Frankensteinem drżąc jak dziecko, mające nieczyste sumienie, przed srogim przełożonym.

Obaj mężczyźni udali się do pokoju 1, jak na scenie jakiegoś teatru, w drzwiach z prawej strony pojawiała się twarz obcej dziewczyny.

— Jesteś z Polski? — szepnęła.

— Nie, z obozu...

— Ale Polak?

— Pewnie! Z Łodzi.

— A ja z Poznania.

— Jakże tu u was życie?

— E... człowiek czeka na koniec wojny i nie może się doczekać. Szabom tylko rosna mordy od naszej pracy... Ty u tego starego nie bediesz miał źle... Jeśli tylko bedziesz umiał poradzić sobie. On trochę głupawy. Prawie każdego Polaka zaczął już i namawiał na robotę u siebie. Niejeden zgodził by się, ale — nie wolno zmieniać miejsca pracy. A nawet mamy tutaj kilku takich, którym nie wolno na krok wyjść na ulicę. Mała oni wypisane na każdym dokumencie, że wolno im wychodzić z miejsca pracy tylko pod „opieką”. To są „specjalni”. Ale nie przejmuj się; paniełaj, że tylko głupiego biją...

Zastanawiałem się nad słowami mojej rodaczki: szyje mlata obandałowana, oko podbite...

— Czy jesteś tutaj sama?

— Nie, jest jeszcze Wacek. Warszawiak. Dziękił Bogu, że idziesz do tego. Fettek. Pół roku temu zabrał mu syna do wojska, a synowa zmarła przed miesiącem. Dlatego też bedziesz tam potrzebny... Młody Fettek nie przyjechał na pogrzeb i pewnie już nie wrócił. A był młody chłop... Na imię miał Ernst i był największym piłakiem. Gdzieś w FÜRSTENWALDE, Beertelde, czy Molkensbergu wszyscy ci rwidzają, że takiego piłaka jak Ernst świat jeszcze nie widział. A do wojska wzięli go dlatego tylko, że zadawał się z Polakami. Na jakas wysep, między Francją a Anglią, wystali go. Kiedy odchodzili zaprosił do siebie Wacka i Mar'ana na pożegnanie. Za to Wacek dostał później od Krygiera porządne łanie... Ale Wacek, kiedy sobie wypije nieczego nie czuje!

W pokoju, w którego drzwiach stała mówiąca, rozległo się głośnie wotanie „Teska” i za chwilę Frankenstein wymierzył dziewczynie gruba dłoń: silne uderzenie w kark.

— Arto, zobaczmy — z głębi mojego „wca” plynęła cicha modlitwa o lepszą przyszłość.

Wychodząc, starzec wręczył mi „arbeitskarte” opatrzoną licznymi pieczęciami prezydium policji w Berlinie. Ręka (której właścicielowi —

PRZYPOMNIAMY

Przełóżam prasę z przed siedemnaście lat. Przełóżam numery „Pobudki“ z roku 1930, czytam słowa mocne, twarde, — rzucane w twarz ówczesnym władcom polskim pułkownikom, majorom i podpułkownikom, słowa proletariackiej, socjalistycznej prawdy.

Czytajcie razem ze mną:

„Czyście widzieli panowie „radośni twórcy“, coście to z hasłami „sanacji moralnej“, uznojonymi rękami mas ludowych spragnionych zdrowszej atmosfery, uczciwszych rządów — wzięli za władzę w maju 1926 r., czyście widzieli dzisiejszą nędzę i otchłań zawodu i rozpacz w oczach mas robotniczych Łodzi, Zagłębia, kresów wschodnich i zachodnich?...

Nie dostrzegacie... Głuszą je wrzaskliwe dźwięki jazzbandu w „Oazie“ i „Europejskiej“, huk korków szampa w „Nitouche“, toasty na reprezentacyjnych bankietach, dyskretny szum kosztownej limuzyny... Więc zdejmijcie panowie na chwilę z waszych karków — bez zarzutu skrojone fraki i smokingi, zdejmijcie, panowie pułkownicy, z waszych piersi dawne polskie i nowsze faszystowskie wstęgi i ordery i zejście na chwilę do tych, których ramionom wyłącznie zawdzięczacie to, że dziś pułkownikami jesteście...

Zajrzyjcie — panowie — w czarnymi podkrowami głodu podkrążone oczy górników i metalowców Dąbrowy, w ślaniające się cienie włókniarzy Łodzi, Białegostoku i Bielska, w bliski gniewu i rozpacz w oczach poredukowanych kolejarzy, popatrzcie na groźnie ściśnięte pięści budowlanych drzewnych, chemicznych i rolnych na naszych kresach wschodnich... Wejdźcie do izb robotniczych Zagłębia, do nor mieszkalnych na przedmieściach Warszawy i rozejrzyjcie się po nagich, odartych ze wszystkiego, co jakkolwiek wartość jeszcze przedstawiało, ścianach tych domostw. Popatrzcie na dawno wystygłą blachę kuchenną, na wyskrobany do ena garnek po ostatnich kartoflach bez soli... Przysłuchajcie się złorzeczeniom żon wychudłych, kwileniom dzieci licznych, niemej rozpacz matek starych...

Czyż i to wam nie powie? Czyż wolicie słuchać raportu Głównego Komendanta, że ostatni rozkaz bardziej brutalnego rozpędzania manifestacji i zgromadzeń ulicznych został przez tę „sprawną naszą policję“ bez zarzutu wykonany?...

Nie wszystkie z tych słów przypomnieć dziś można. Nie wszystkie — gdyż świecą stronice białymi plamami konfiskat, konfiskat, które często kroć więcej znaczyły niż słowo pisane.

I właśnie numery, które przełóżam, czerwcowe numery „Pobudki“ z roku 1930 drukowane na kilkanaście czy kilka dni tylko przed pamiętnym Kongresem Obrony Prawa i Wolności Ludu — tymi białymi plamami są szczególnie gęsto upstrzone. Przypominamy to — czego ołówki cenzora nie skreślił:

„Sejm nie więcej w obecnej sytuacji zrobić nie może. Konstytucja okazała się słabą zaporą dla sanacji. Zwołana na żądanie posłów w myśl Konstytucji sesja nadzwyczajna Sejmu została przed otwarciem odroczone, a po miesiącu zamknięta. Sejm musi milczeć.

Ale milczeć nie może lud polski, nie może milczeć robotnik, nękany bezrobociem, nie może milczeć chłop wyczerpany kryzysem w rolnictwie, nie może milczeć mieszkaniec miast i miasteczek, wyssany przez pompę podatkową, poniewierany przez każdego urzędnika czy policjanta!

Te masy muszą teraz dojść do głosu.

Dotychczas wypowiadały się tylko wiecie i zgromadzenia poszczególnych miejscowości. Głos ich tonął w potoku codziennych zdarzeń. Bagatelizował je rząd i sfery cieszące się z posiadania władzy. Zdobywamy się przeto na krok dalszy. Zwołujemy Kongres wszystkich stronnictw opozycji do Krakowa. Wraz z delegatami na Kongres pośpieszą wielką rzęsą obywatele różnych przekonań, aby poprzeć kongres swą obecnością i masowo wyrazić swoją wolę, streszczającą się w hasło:

Prez z dyktaturą!

Żądamy rządu zaufania mas ludowych!

„W Krakowie przemówił lud, gęsty umilkło jego przedstawicielstwo. Prze mówi i zażąda spełnienia swej woli.

Z tych dni, poprzedzających Kongres Krakowski, z tych dni — poprzedzających Brześć — jeszcze fragment jednego artykułu przypomniemy. Artykułu, noszącego tytuł

NAIWNNA DEMAGOGIA

Demagogia to rzucanie hasel fałszywych, bez prawdziwej treści, obliczonych na ciemnotę tłumy. A cóż

innego robi dziś sanacja? Oto woła wszędzie: jakto, wy, socjaliści pójdziecie razem z Witosem i Kiernikiem, razem z chadecją i enpeerem?

Czy zapomnieliście o przelewie krwi w Krakowie?

Pocieszamy sanatorów, że pamiętamy o tragedii krakowskiej z 1923 roku, wynikłej na tle militaryzacji, proklamowanej po raz pierwszy w Polsce przez Pilsudskiego. Pamiętamy o tragedii listopadowej i mamy jej lekcję świeżo w pamięci. Wynika zaś z niej tylko jedno: nie walczyć nigdy w imię wielkich ludzi, a tylko w imię interesów ludu. To samo potwierdził maj 1926 roku. Niechże więc panowie sanatorzy nie martwią się o naszą pamięć.

A wobec tego, że pamiętamy o tamtym niech nie dziwią się, że pamiętamy o świeższych wypadkach: o masakrze w Kaliszu, o krwawym napadzie w listopadzie na stokach cytadeli warszawskiej, o krwawym Zawierciu z przed kilku tygodni, o dzieciątkach rozpędzanych manifestacji bezrobotnych, o napadach policji na zgromadzenia robotnicze, o hodowli morderców Jaskrowskiego, Bucholca, Molendy, o zbirach czających się na socjalistycznych robotników w każdym mieście. To wszystko też pamiętamy. Tamto przeszłość tragiczna, ta niemniej tragiczna, lecz podłością swą okropniejsza — teraźniejszość.

Żyć w niej nie można. Odetchnąć szerzej nie pozwoli szpicel sanacyjny. Wszystko zatrute przekupstwem. Błoto nas zalewa, płynące z obozu, który rządzi.

Zapewnie chcielibyście panowie specjaliści od II oddziału, by nikt się w Polsce przeciw wam nie opowiadał. Ale trudno. Nie wszystko da się kupić za brzęczącą monetę. Nie pogardziliście piastowcami, czy chadeczkami, czy też enpeerowcami, którzy poszli do was za głosem gotówki. Cieszcicie się nimi!

My połączymy swe siły z tymi, którzy okazali się niesprzedajnymi, którzy poszli na gorzki chleb opozycji i którzy chcą wytepić zarazę sanacyjną w Polsce. Na tej drodze się spotykamy i łączymy swe siły mimo waszej demagogii.

A że krzyczycie, to najlepszy dowód, iż was to mocno boli!

wybrał
SET

Nasz konkurs 23)

Poniżej drukujemy 23 skolei odcinek naszego Konkursu. Przypominamy, że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród jest nie tylko trafne rozwiązanie, ale i punktualne nadesłanie rozwiązania do redakcji.

Termin nadsyłania rozwiązań Konkursu nr 23 upływa z dn. 8 lip-

ca br. Rozwiązania z datą stempla pocztowego późniejszą — nie będą brane w rachubę.

W rozwiązaniu podać trzeba — przypominamy jeszcze raz — tytuł książki z której fragment został zamieszczony, nazwisko autora, oraz własny dokładny adres i nazwisko.

Była to sobie wioska (trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska) leżała w dole, co na jakiś jar zakrawał. Ponad nią, na równinie szerokiej, ciągnęły się złociste łany zbóż, niewielkimi przecięte łaskami, środkiem siola biegła ledwie dojrzana rzeczółka, w dość duży staw zebrała. Chaty poprzyczepiane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązkiach białeły wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie musiały wyłobzić wody, kierowane ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiedła. I drzewom, i chatom, i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba zawsze prawie jasny świecił nad nimi, rzadko maleńki, orzeźwiający wiaterek przeniosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły gdzieś bokiem, na lasy i bory.

To też osada, rozkrzewiając się coraz to dalej a dalej, posuwała się jarem nad rzeczką i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyzny i tarni zarastających boki rozdołu. Na wysokiej płaszczynie wzgórza — jeden tylko cmentarz, nad wioskę wyniesiony, ponad nią górował, to też bardzo był smutny, i nie wiem jak ci ludzie, do tak różnych chatek śmiejących się przywykli, mogli spać po tym na tak opuszczonym rozlogu. Musiało tam dużo wstawać upiórów wygnańców i po nocy powracać do zacisznych siedzib swoich.

Cmentarz ten — była to jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jej częścią nazwać można. W istocie łączył się on z nią prawie, chaty, czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane ponad drogą, na wierzchołku góry były wrota na las, a aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem czyście się kiedy przypatrzyli wiejskiemu cmentarzowi w okolicy, gdzie każda piędź ziemi droga? Jak to tam skąpo wymierzono gruntu umarłym! Jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunty nie worał, opasali go wałem i rowem, ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumiło i płakało nad mogiłami. Tylko badyle ostów i zieliska, co się wszędzie uczepia, obrosły i stare groby i przeszloroczne nawet mogiły, tylko trochę pokrzyw i dziewanny, w żółte strojnej dzwonki, gdzie niegdzie zielenią nad tyłą lez użyźnionej roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowany, ubożsi wystrugiwali go sobie z kijów, wypitowali z kruchej tarcicy i zatknęli krzywo, niedbale na niedługo; pierwsza burza je wywróci, kilka lat w próchno zamieni. Tam żółci się jeszcze świeżuchny grób, na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiechać zielenią; ówdzie zamiast pagórka, dół już wkleśły tylko. Tak to i z żalem jak z mogiłami bywa: gdzie rósł do góry, wkrótce próżnię tylko zostawia... Na wale, na rowie, jedno tylko wejście, jedna bramka ciasna, ale nią wchodzi umarły i jeszcze mu za szeroka — nad nią krzyżyk, a wrota dawno służą za mos-

tek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zacisznej wiatru i burzy nie słyhać, za to nieboszczyków na tej górze żaden wichur nie minie, żeby nie odwiedził. Dużo on tu już krzyżów podruzgotał! Miarkujcie jak to smutno, jak ciężko musi być umarłym a cóż dopiero żywemu!

Bo tuż przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrót, nie widzicie? — stoi chatka przyparta jedną ścianą do góry obrywu, drugą obrócona na cmentarzysko.

Chatka!... oj!... złe nazwanie — lepianka chyba i to jeszcze za wiele; może — szałas, ale nie szałas jeszcze — stoi to coś, czego się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęca, to widocznie pomieszkane człowieka. Trudno jest sobie coś nędźniejszego wystawić. Naprzód, że to w bezlesiu zbudowano ją z kawałków drzewa, pozbieraných gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wichur, gdy się rozhuła. Ale czego to nie dokażą we dwoje: człowiek z nędzą!

Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły, dwie drugie zlepione jak gniazdo jaskółcze. W istocie, znajdziesz w nich to co w gniazdku tej przemyślnej ptaszyny: drzewko, słomę, glinę, błoto zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu narzucono kółków z płotu i gałęzi leśnych i słomy jeszcze, i nie wiem tam czego, a pokryto darnią! Resztę Bóg dokończył zasiawszy na tej płaszczynie bujne pokrzywy, bylice, dziewanny, trawy i ziola liściaste, które związały kruche pokrycie lepianki. Szum tam na dachu las chwastów tak dorodnych i bujnych, jakby na mogile! Z pośrodku, z nich wypleciony, z chrustu, oblepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem starej maty przyrzucony, i udaje komin z wielkim talentem — komediant!

Ściany żeby się nie obaliły — bo jednakże całkiem nie wypadło im dowierzać — ściany obwiódł przemyślny budownik przyzbą, która je trzyma i nie puszcza. Okna? Nie wiem czy tak nazwać można, te dwa otworki nieregularne, gliną oblepione, w które wstawiono kilka brudnego szkła kawałków.

Było tu pracy, ale to dawno, bo deszcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanu ledwie teraz poznać można było.

Wystawcież sobie taką chatkę, także schronienie bez nazwiska, przyklepione do góry na wprost cmentarza, na łysym wzgórkku, od wsi o staję, a spytacie pewnie: któż tam mógł budować się i mieszkać?

Ten co zwykle mieszka w lepiankach — ubogi, istota, często sobie winna swą nędzę, często nie winna przed Bogiem, choć przez ludzi wykleta; biedne stworzenie, które śpieszy się umrzeć, żeby odpocząć, bo mu żyć nie ma po co.

Mógłże być stosowniejszy widok dla nędzarza nad miejsce wiekiustego spoczynku?

Włoski fason

Jak byłem taki mały, taki bardzo maciupucieneński — wiedziałem już, że szewe bez butów chodzi. Dlaczego chodzi bez butów — nie wiedziałem jeszcze i wcale nie próbowałem wiedzieć, bo mnie wystarczało, że chodzi i — już!

Dziś już nie jestem mały. Dziś jestem dryblas, jestem stary koń, a mimo to do dnia wczorajszego w dalszym ciągu nie wiedziałem jak to jest z tymi szewkami butami. Do wczorajszego dnia!... Bo muszę przyznać, że właśnie wczoraj zrozumiałem, dlaczego nie tylko szewe, ale powiedzmy i ja — chodzimy bez butów.

Bo ja też chodzę bez butów. To znaczy mam tam jeszcze coś na nogach co w czasach okupacji nazywało się butami, co „zorganizowane” zostało jeszcze w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych i przedeptało ze mną szmat świata, ale to „coś” jest dziś w takim stanie — że szkoda leż.

Co innego, że na usprawiedliwienie, a właściwie dla wyjaśnienia dodać muszę, że w ciągu tych dwu lat, jakie już jestem w kraju, dostałem raz przydziałowe buty. Naprawdę!... Ale że to wtedy wszystkim pracownikom tej instytucji w której byłem zatrudniony przydzielono nr. 7, a ja, jako że drab jestem, noszę buty nr. 9 — więc w rezultacie podarowałem buty swemu młodszemu bratu, a sam dalej w tych wojennych chodakach biegałem tam i sam, po konferencjach, uroczystościach, posiedzeniach i innych historiach z takiej czy innej okazji i były wszelkie znaki na ziemi i na niebie, że w tych zdobytych butach do końca życia już będę chodził.

Ale wróćmy do tych szewców, co to bez butów chodzą.

Byłem więc w fabryce obuwia. Rozmawiałem z szewcami. Mówiliśmy o tym w jakich warunkach pracują, ile zarabiają, co u nich jest dobre, a co złe...

I kiedy tak sobie rozmawialiśmy, coś mnie podkusiło i nieopatrznie rzuciłem jednemu z mych rozmówców: — co tam!... wy to przynajmniej w dobrych butach możecie chodzić, a ja?...

Burza zaprzeczeń, ironiczne uwagi i drwiące uśmiechy — były mi odpowiedzią. I rzeczywiście: popatrzyłem na buty, w jakich ci kochani szewcy chodzili i zrobiło mi się „jako”. Przeprosiłem więc ich czymprzedzej, rozczęstowałem paczkę „Bałtyków”, jaką jeszcze w kieszeni miałem i próbowałem skrócić rozmowę na inne tory. Zacząłem mówić o kinie, o papierosach, o dziewczynkach, o Przybosiu...

I już, już... a niedługo by mi się udało. Tylko, że w życiu wszystko tak się układa, jak człek sobie nie życzy. I w tym momencie — też!

Bo ja tu do moich szewców o dziewczynkach, oni do mnie — że „Perla” zdrożała w ordynarny sposób i już zapomnieliśmy o tym, że bez butów chodzimy, gdy wtę na sali ukazał się jeden z dyrektorów w towarzystwie jakiejś donny.

Donna jak donna! Korci, perłony, kostium, prosto od krawca, ze 100-procentowej wełny, kapeluszek, manicure, trzy pierścionki, dwa złote zęby, wieczna ondulacja, na rzesach tusz i na ustach szminka... Jednym słowem — salon fryzjerski, zakład kosmetyczny, perfumeria i pracownia damskich okryć.

A dyrektor, jak dyrektor. Mały, w okularach, na krótkich nóżkach — patrzył z nabożeństwem na donnę i dreptał za nią z jakimś papierkiem w rękę.

Mniejsza jednak o dyrektora. Mniejsza nawet o donnę. Najważniejszym był bowiem papierek, który mówił, że Zjednoczenie, czy też Dyrekcja Zjednoczenia poleca obywatelce takiej a takiej (niby tej donnie) sprzedać po cenach kalkulacyjnych parę damskich pantofli. I ta taka a taka obywatelka przyszła z małym dyrektorem wybrać sobie odpowiednią parę.

Kiedy widzę kobietę — milknę.

Dlatego i wtedy odsunąłem się do kąta, a donna (czyli ta taka a taka obywatelka) zaczęła wybierać sobie parę butów po cenach kalkulacyjnych.

Pokazano jej jedną parę. Potrząsnęła tylko głową i powiedziała:

— Nie!

— Dlaczego nie?...

— Bo takie pantofle już mam — odpowiedziała wyniośle.

— A takie? — spytał dyrektor — pokazując inną parę.

— Takie też mam!

— To może te? — demonstrował dyrektor inny jeszcze fason.

— Kiedy właśnie akurat takie kupił mi mąż na imieniny!...

Dyrektor był zmieszany. Na czoło występowały mu wielkie krople potu.

— Więc może te laskawa pani raczej wybrać!

— Kiedy i takie już mam — brzmiała zimna i sztywna odpowiedź.

— Więc jakie?...

Donna zmarszczyła brwi, obciągnęła rękawiczkę na lewej dłoni i sennie wysepleniała:

— Widzi pan, panie dyrektorze, teraz modny jest włoski fason...

Dyrektor zrobił się jeszcze mniejszy. W powietrzu zawisła wielka,

groźna cisza. I raptem ciszę tę przewrwał nalaadowany wściekłością głos jednego z robotników:

— To może my dla paniusi do Włoch po kopyta jeździć będziemy, co?...

I znów wszystko stało się jak przedtem. Cisza uciekła przez otwarte okno, na sali poruszyli się żywi ludzie, a przestrzeń wypełnił serdeczny, prosty, taki z pod serca wydobyty śmiech.

Donna — najpierw otworzyła malowane usta, potem oblała się prawdziwym, niefalszowanym rumieńcem, potem znów zbladła, zaczęła mleć w ustach jakieś słowa, w końcu wyrwała dyrektorowi z ręki tę kartkę, tę polecającą kartkę, upoważniającą do nabycia butów po cenach kalkulacyjnych, — odwróciła się na swym korkowym obcasie i wyszła z dumnie podniesioną głową.

Wysunąłem się wtedy z kąta. Popatrzyłem za dyrektorem, który toczył się na swych krótkich nóżkach w stronę wyjścia, a za moimi plecami powiedział ktoś głośno:

— Takich jak ta — u nas pełno! Tylko my zlecenia na buty nie możemy dostać!...

I znów zapanowała cisza, i wtedy — popatrzyłem na swoje buty, popatrzyłem po sali i nie powiedziałem nawet — dowidzenia!... wyszedłem.

*

Wiem, że ja zlecenia z Dyrekcji nie dostanę. I dlatego wczoraj postanowiłem sobie mimo wszystko kupić buty. Nie po cenie kalkulacyjnej. Nie! Kupię sobie poprostu buty za 16 czy 20 tysięcy złotych w sklepie na Piotrkowskiej.

I teraz tylko nad jednym się zastanawiam: czy mężczyźni też noszą włoski fason?...

PS. Ale skąd ja wezmę te 16 czy 20 tysięcy złotych?...

marek.

P. o. red. nac. i sekretarz
Redakcji — Sergiusz Jaśkiewicz
Wydaje: Woj. Komitet PPS. w Łodzi
Redakcja i administracja: Łódź:
Piotrkowska 68, tel. 112-54
skrytka pocztowa nr 7
Godziny przyjęć: redakcji 10 — 12
administracji 9 — 17
Prenumerata: miesięcznie — 20 zł.
kwartalnie — 50 zł.
Cena ogłoszeń:
za milimetr — szpalte 50 zł.
Drukarnia Nr 4 Spółdz. Wydawn.
„Czytelnik”, Łódź, Żwirki Nr 2
D-016233



RABANKA

Awantury arabskie

Blok Demokratyczny naszej kamienicy, pasjonujący się od pewnego czasu polityką zagraniczną, przejął się również kłopotami międzynarodowymi jakie wynikły w związku z ucieczką Abd el Krima.

— Taki — im nawiał! — zauważył ob. Dzwoniec, uderzając wierzchem dłoni po papierze „Kuriera“.

— Niby kto? — spytał tow. Luła, zapalając po raz czwarty twardego jak patyk „Bałtyka“.

— No, ten, Abdel Krym!

— Nie słyszałem. Cóż to za jeden? Czy był to jakiś cwaniak bankowy, czy też polityczny? — spytał ob. Zielonka.

— Też się pytacie! Polityczny był — i do tego bojówkarz!

— No, to sobie już nasze władze z nim poradzą! Nie takich łapali!

— Ależ, człowieku, to przecież nie u nas, tylko gdzieś indziej! Przewozili go skądś dokądś, nie przypilnowali, jak trzeba, a facet — chodu i tyleś go widział!

— Słyszałem raz już kiedyś o jakimś Krymie, ale to było miasto, czy też kraj cały, który szkopy oblegali podczas wojny i gdzie pierwszy raz dostali wyścisk jak się patrzy od naszego ruskiego brata — przypominał sobie Zielonka.

— Abdel Krym nie jest miastem, tylko bojówkarzem arabskim!

— Acha! Znakiem tego, nawiał im w tej Palestynie? — zauważył tow. Luła, zadowolony, że wreszcie zaczyna rozumieć o co chodzi.

— Tylko nie w Palestynie, ale w Egipcie — poprawił przyjaciel tow. Dzwoniec — a Egipt jest, zdaje się, jakimś większym palestyńskim województwem, tylko że teraz osobnego króla posiada, niejakiego Faruka.

— Przecież egipski król — Herod się nazywał! — zauważył ob. Zielonka. — Uczylem się przecież w historii świętej i dobrze sobie przypominam te ucieczki Świętej Rodziny!

— Wszystko wam się, widzę, pomieszało — zawołał z irytacją Dzwoniec. — Herod był właśnie król żydowski, przed którym Święta Rodzina podobnież w Egipcie ukrywać się musiała. Ale kraj ten jest już tuż przy Palestynie, bo najczęściej jakżeby we trójce na jednym osiołku przed takim Herodem nawiać mogli? Podobnież i ten Abdel, przeskoczył tylko granice — i już go nie ma!

— Faktycznie. Ale mają też ci Żydzi kłopot z temi Arabami! To Anglicy ich widno podszczuwają i pewnie to oni porwali tego Abdulkie!

— Wytlomaczcie jaśniej, jak jest z temi Arabami, — dopominał się ob. Zielonka.

— Arabowie, jak wiecie, jest to żydowska partia opozycyjna w Palestynie — zaczął tow. Dzwoniec.

— A więc — to jednak Żydzi! — zawołał tow. Luła. — Tak sobie zaraz myślałem. — Znakiem tego, partia arabska pcha się do rządu, na co im Żydzi nie pozwalają, bo ich jest dużo więcej. Może by się jakoś i zgodzili, tylko stronnictwo arabskie chce dla siebie aż

75 proc. mandatów, na co sejm żydowski żadną miarą zgodzić się nie chce, bo niby jakim prawem?

— Rozumiem! — zaznaczył ob. Zielonka. — Tylko mnie się widzi, że wyszczególniacie się coś niejasno, bo stojało już nie raz w „Popularniaku“, że Żydzi teraz nie z Arabami wojują, tylko naparżają Anglików!

— No tak! To przecież jasne! Arabowie są za opozycję, czyli za czarne reakcje, a że sami z Żydami rady dać nie mogą, więc zawołali na pomoc Anglików! I za to Żydów na Anglików jasna cholera bierze, bo co mieszają się nie w swoje sprawy? Znakiem tego — to im bombe podłożą, to im kota pogonia, i mają rację, bo swojej narodowej demokracji bronią!

— No, ale co ostatecznie z tem Abdel Krymem, bo tu przecież o niego chodzi! — pytał zniecierpliwiony Luła.

— Tego to i ja akurat nie wiem — odpowiedział Dzwoniec. — Może on chciał z Żydami zgodę robić, a może się do większej draki szykował, któż to zgadnie? Dostyc, że im nawiał — i to do tego samego świętego Egiptu!

— Ale tu przecież najwyraźniej stoi, że za te ucieczki Francuzi są najbardziej obrażeni! Czegóż ci chcą znowu?

— To już musi być, widzicie, jakaś wyższa polityka! O wiele Francuzi pomagają tego Krymskiego gonić, to wiadać taki układ mają międzypolityczny! Tylko, że się ciut-ciut spóźnili, bo Abdel Krym już sobie bezpiecznie u króla egipskiego siedzi, egipskie machorczaiki palą i coś tam razem kombinują. Tylko co? — tego my się z gazet zaraz nie dowiemy! Wypadnie nam póki co zaczekać i nie przejmować się. Bo z zagraniczną polityką trzeba ostrożnie!

KIEL.

Kto otrzymał nagrodę

W naszym konkursie Nr 20 drogą losowania nagrody otrzymali:

1. Witeczak Zygmunt, Skierniewice, ul. Kolejowa 4.

2. Barbara Szymczak, Łódź, ul. Głogowska 32 m. 1.

3. Borkowska Józefa, Łódź, ul. Prądyńskiego 23a.

Tow. Witeczakowi przestaliśmy nagrodę pocztą; prosimy o potwierdzenie odbioru. Towarzyszkę z Łodzi proszone są o odebranie wylosowanych książek w redakcji, w godz. 11 — 16.

Fragment zaczerpnięty był z książki Gustawa Morcinka p. t. „Inżynier Szwanda“.

„SPOŁEM“

Fabryki makaronu

UL. ŁOMŻYŃSKA 3, tel. 193-64

UL. BANDURSKIEGO 26, tel. 208-56

Hurtowa sprzedaż

makaronu pszennego

Kupon nr 6

na okładkę do powieści »POBUDKI«

(wyciąć i zachować!)